

# SKANDAL!

Annalena McAfee



**Jedna chce za wszelką cenę ukryć swoją historię.  
Druga zrobi wszystko, żeby ją ujawnić.**

# Rozdział pierwszy

*Londyn, 17 stycznia 1997*

Miała dwie godziny, by ukryć swoje sekrety. Zatrzeć dowody próżności, głupoty i innych cięższych grzechów. Zwykły domowy nieład nie stanowił problemu. Sprzątaczką, która była tu rano, wszystko już uporządkowała. A choć Honor Tait miała pewną skłonność do bałaganiarstwa, to z pewnością nie do kolekcjonowania ludzi ani przedmiotów. Rozwód, żałoba, pożar w domu, wyjątkowo niesentymentalne usposobienie i częste podróże sprawiły, że jak na kobietę w jej wieku posiadała bardzo mało rupieci. Nigdy nie zabierała w podróż zbyt wielu rzeczy. W miłości podobnie jak w życiu wystarczał jej bagaż podręczny. Co zatem pozostało w londyńskim mieszkaniu? Który z przesianych przez czas gratów, tych przypadkowo ocalałych rozbitków, może ją zdradzić?

Ogarnięta nietypową dla siebie paniką, z trudem łapiąc oddech, rozejrzała się po pokoju, przyjrzała meblom, obrazom i półkom z książkami. Rzecz jasna, w większości były to rzeczy Tada. To jego kawalerskie mieszkanie stało się później ich małżeńskim *pied-à-terre*. Teraz zaś było jej wdowią

celą. Za wystrój i urządzenie tego lokum zawsze odpowiedzialny był Tad, a radził sobie z tym niezbyt dobrze. To on kupował obrazy, oprował zdjęcia, wybierał zastony i spełniał swoje zachcianki, nabywając figurki ze Staffordshire i porcelanę sewrską, a także dwa fotele uszaki o zabrudzonej tapicerce, które znalazł w Edynburgu w pewnym sklepie z antykami i którymi, nie wiedzieć czemu, się zachwycił, a potem całymi godzinami przeglądał opasłe katalogi z próbkami materiałów, ślęcząc nad nimi niczym średniowieczny mnich nad manuskryptem. Nawet w czasach, gdy łączyła ich największa zażyłość, oboje uważali oddalone o tysiąc sto kilometrów na północ Glenbuidhe z jego jakże inspirującym brakiem wygod za jej dom, a apartament w londyńskim Maida Vale za dom Tada. Honor nigdy nie była zainteresowana urządzaniem tego mieszkania, a po śmierci Tada nie odczuwała potrzeby, by je uprzętnąć — rozebrać scenografię, jak by powiedział. A teraz będzie musiała tłumaczyć się z powodu zachłanności i wątpliwego smaku swego nieżyjącego męża.

Przedmioty, do których Honor tak przywykła, że już ich nie zauważała, przypadkowo nagromadzone książki i obrazy, niechciane prezenty i błyskotki, cały ten sentymentalny majdan pieczołowicie teraz odkurzony i ustawiony w nowym porządku przez sprzątaczkę, zostanie skwapliwie wykorzystany jako wiele mówiące szczegóły. O Honor już i tak zbyt dużo powiedziano i napisano. Kolejni inkwizytorzy pozbiali i wypolerowali plotki, błędne informacje, insynuacje i przeinaczenia, i zamienili je w fakty.

Wciąż nie przeboleła tego materiału z „Vogue’a”, na który zgodziła się za namową Bobby’ego. Choć minął już ponad rok, za każdym razem, gdy widziała to wydanie magazynu —

ostatnio w poczekalni u lekarza — wpadała w szewską pasję, rozsierdzona i poniżona bredniami, które tam wypisano (i zdjęciem!). Żeby w trzystu słowach tak kogoś znieważać, potraktować protekcyjnie i tak wszystko przeinaczyć — to nie lada osiągnięcie. Wcześniej Honor wystąpiła w radiu w audycji *Woman's Hour* (tyle hałasu o jedno ośmiominutowe okienko) i z Melvynem w *Start the Week*, gdzie starała się przebić wśród głosów pewnego smętnego naukowca, duchownego, któremu chyba się zdawało, że nadal stoi przy ambonie, i pisarza o ekscentrycznych poglądach na temat praw zwierząt.

A niedawno wystąpiła w telewizji w *South Bank Show* (znów ten Melvyn. Czyżby nie ostał się już żaden poważniejszy prezenter?). Zapewniano ją, że program będzie poświęcony wyłącznie jej pracy — wyraźnie dała do zrozumienia, że życie osobiste to strefa zakazana — i schlebiała sobie, naiwnie wierząc, że celem audycji będzie uczczenie jej jako „pisarki, która miała szczęście znaleźć się w samym sercu historii dwudziestego wieku”. A co z tego wyszło? Pomarszczone stare truchło w półmroku opowiadające o światowych wydarzeniach, które nikogo już nie obchodzą, drżąca panna Havisham wspominająca ślub, który nigdy się nie odbył.

Wywiad został okraszony archiwalnymi materiałami filmowymi i fotosami — ze Szkocji, Paryża, Hiszpanii, Niemiec i Los Angeles, z paradą artystów, poetów, polityków i zatrudnionych w sobie hollywoodzkich sław oraz trzech kolejnych mężów — parodystyczna kwintesencja jej życia przedstawiona w sześciominutowym rozedrganym, migotliwym filmie. Twórcy programu skrupulatnie dotrzykali danego słowa i powstrzymali się od wzmianek na temat rodziny, mężów czy

kochanków Honor, lecz obrazy ukazujące ten nieprzerwany korowód postaci były mniej dyskretne.

Członkowie ekipy odpowiedzialni za wybór materiałów odgrzebali zdjęcie Maxime'a, na którym przytłoczony własnym cieniem wymachuje cygarniczką niczym batutą, wyrazisty jak Noel Coward, lecz pozbawiony humoru i ciepła albo po prostu testosteronu. Sandor Varga pojawił się dwukrotnie. Najpierw w Basle jako elegancki i posępny pan młody w dniu ślubu z Honor oraz dekadę później w Monako, gdzie pulchny i zadowolony z siebie obściskiwał się z lafiryndą, dla której zostawił żonę. O dziwo Tadowi, jej trzeciemu i ostatniemu mężowi, poświęcono w tym materiale dokumentalnym o wiele mniej uwagi niż przecenianej aktorce Elisabeth Taylor określonej przez lektora idiotycznym mianem „hollywoodzkiej księżniczki”, z którą Honor i Tad zostali sfotografowani na jakiejś filmowej gali. Dorobek Tada reprezentowało kilka fragmentów jego filmów, ale w wyjętych z kontekstu scenach humor wydawał się jeszcze bardziej infantylny i naciągany, a delikatne aluzje seksualne sugerowały raczej ucisk niż wyzwolenie. Współczuła biednemu staruszkowi, który spoczywał teraz w ciszy i spokoju na cmentarzu St Marylebone.

Życiu zawodowemu Honor oddano cześć, pokazując materiały filmowe: wstrząsające dokumenty wojenne z Madrytu, Polski, Normandii, Buchenwaldu, Berlina i Inczhonu, mroczne postaci przemykające przez algierską kasbę uwiecznione w latach pięćdziesiątych, a potem ckliwe zdjęcie późnych lat sześćdziesiątych, na którym Honor trzyma w ramionach przestraszone dziecko w weimarskim sierocińcu.

Węgierscy studenci atakujący sowieckie czołgi w 1956, czescy — powtarzający ten sam scenariusz trzynastu lat później (trzy sekundy w absurdalnie skondensowanym czasie

antenowym), podczas gdy dwie granice dalej, w Paryżu, synowie zamożnej klasy średniej — tak, w większości byli to synowie — przyszli deputowani, profesorowie, politycy oraz różnego rodzaju komentatorzy i eksperci, bawili się w rewolucję, tłukąc szyby wystaw sklepowych oraz rzucając kostkami wyrwanymi z bruku i koktajlami Mołotowa w proletariackich żandarmów.

Zdjęcie Honor z lat pięćdziesiątych w koreańskich okopach strzeleckich. Potargana i umorusana przypominała raczej debutantkę przyłapaną z maseczką na twarzy niż korespondenta wojennego w trakcie pracy. Jednak na większości fotografii z lat młodości wyglądała wspaniale — z burzą lśniących włosów spływających na ramiona i uśmiechem niczym znicz olimpijski, jakby na przekór każdemu, kto śmiałyby twierdzić, że nie jest piękna ani godna pożądania, kto nie podziwiałby jej bystrości i nie zazdrościł sukcesów. Zestawienie tej promiennej rozhasanej bogini z drżącą emerytką z telewizyjnego wywiadu tworzyło kunsztowny i okrutny *vanitas*: Ozymandia dzisiejszych czasów. *Mocarze! Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpacz!*\* Przyjaciele i kochankowie na chwilę przywróceni do życia na ekranie mogli być teraz zaledwie duchami, ciałem rozkładającym się pod ziemią lub popiołem dawno wyrzuconym w powietrze, lecz najbardziej ponurą zjawą była Honor Tait, która wciąż żyła, lecz chyba tylko po to, by ze zgrozą obserwować własne powolne więdnienie i usychanie.

W dzisiejszych czasach sława przynosiła tyle upokorzeń i zmartwień. Honor dziwiło, że tak wielu ludzi przesiaduje

---

\* Percy Shelley, *Ozymandias*, przekł. Adam Asnyk, w: *Poeci języka angielskiego*, t. 2, wybór i oprac. Henryk Krzeczkowski, Jerzy S. Sito, Juliusz Żuławski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, s. 339.

wieczorami przed telewizorem, oglądając programy kulturalne. Rozpoznawali ją taksówkarze, szefowie sali w restauracjach, sklepikarze, nieznajomi na wernisażach, przechodnie na ulicy. Ostatnio jakiś robotnik w pomarańczowej kamizelce, dźwigający na ramionach części rusztowania, na jej widok dotknął kasku i zawołał: „Niech pani dalej pisze!”.

A to nie wszystko. Był jeszcze ten przymilny naukowiec T.P. Kettering, który zgłosił się na ochotnika jako jej „oficjalny biograf”, a potem, gdy odrzuciła jego propozycję, usiłował zostać „nieoficjalnym donosicielem”. Napisana przez niego książka wydana przez mało znane wydawnictwo uniwersyteckie pod groteskowo górnolotnym tytułem *Veni, vidi. Honor Tait, świadek historii* była marnym kolażem wy-cinków prasowych, który dodatkowo wysterylizowali prawnicy, Honor zaś ostatecznie pogrzyżyła tę biografię, wydając cichy dekret, stanowiący, że każdy, kto chce utrzymywać z nią kontakty, nie może mieć nic wspólnego ani z tą publikacją, ani z jej autorem. Nie uszło uwagi Honor i bardzo ją zirytowało, że Martha Gellhorn udzieliła Ketteringowi wywiadu, dzięki czemu mógł zacytować jej na pozór uprzejmą i pełną szacunku, lecz w istocie kąśliwą wypowiedź. Książka miała kiepskie recenzje. (*O niezwyklej Honor Tait można napisać fascynującą biografię, lecz ta pozycja do fascynujących nie należy*, zawyrokował Bobby w „Telegraphie”). Na szczęście szybko zapomniano o tej publikacji, podobnie jak o samym Ketteringu. Wiadomość, że Kettering z powodu nadużywania alkoholu wypadł z obiegu i został zmuszony do podjęcia pracy w charakterze ghostwritera, piszącego na zamówienie autobiografie piłkarzy, sprawiła Honor radość, która balansowała na granicy nieprzyzwoitości.

Nie była jednak w stanie usunąć swego nazwiska z indeksów w biografiach innych osób ani z wycinków prasowych, stanowiących źródło Ketteringa. Ani też z własnych tekstów znajdujących się w archiwach. Tak wiele materiałów należało już do domeny publicznej. Na tym etapie mogła zachować jedynie okruchy prywatności i godności.

Musi spojrzeć na swoje mieszkanie oczami nieznanego, i to wrogo nastawionego nieznanego: dziennikarza. Akurat w jej przypadku powinno to być łatwe. Była już jednak stara i wyszła z wprawy — od ośmiu lat nie napisała żadnego nowego reportażu, a jej ostatni tekst o losie wietnamskich *boat people* z Hongkongu został sześć miesięcy temu odrzucony przez „New Statesmana” i odesłany wraz z czołobitnym listem. „Nowe Dziennikarstwo”, które niegdyś reprezentowała, wyparły jeszcze nowsze style i nurty, a ich zasady wprawiały ją w konsternację. Podobnie jak kino francuskie Nowej Fali czy New Look Diora z kloszowymi spódnicami o talii osy, specyficzny styl Nowego Dziennikarstwa, który wypracowała Honor, charakteryzujący się kompetencją w kwestiach politycznych i budzącą zaufanie bezstronnością, był w tej nowej, pełnej ironii erze równie przestarzały jak koronkowe serwetki na fotelach. Jedynie maniacy rozsmakowani w *vintage* i estetyce bakelitu darzyli jej styl szacunkiem.

Honor stanęła na środku pokoju. Krucha, rozdrażniona staruszka z włosami w nieładzie, w sfatygowanym jedwabnym szlafroku w tureckie wzory. Ostatnio pojawił się u niej tik, który polegał na tym, że kiwała głową, jakby potakiwała. W chwilach wzburzenia, jak na przykład teraz, stawało się to bardziej widoczne i sprawiało wrażenie entuzjastycznej aprobaty, choć w rzeczywistości oznaczało coś zgoła przeciw-



nego. Zacisnęła lewą dłoń na oparciu ukochanego fotela Tada i odwróciła się powoli, mrużąc swe wodniste niebieskie oczy i starając się spojrzeć na pokój tak, jakby widziała go po raz pierwszy, jakby potajemnie przeglądała czyjś prywatny dziennik, usiłując pospiesznie odczytać ukryte znaczenia.

Na początek ściany, czyli obrazy i fotografie. Kiedy ostatnio naprawdę im się przyglądała? Ta akwarela przedstawiająca fale o barwie patyny i brunatne góry. Czy to Antrim? A może zachodnia Szkocja? Na pewno nie jest to Loch Buidhe. Zbyt tu dziko, a perspektywa wydaje się nadto rozległa jak na tę osłoniętą dolinę. Kolejny nieprzemysłany nabytek Tada. Całkiem niebiograficzny i karygodnie nieudolny. Młoda dziennikarka przeprowadzająca wywiad z Honor będzie miała duży kłopot z wyciągnięciem obraźliwych wniosków z tego surowego pejzażu, o ile nie jest znawczynią sztuki, co zważywszy na kaliber większości dzisiejszych dziennikarzy, a w zasadzie większości młodych ludzi, było mało prawdopodobne. Ktoś, kto szafuje stereotypami, uzna obraz za świadectwo pewnej słabości do niedzielnych malarzy tworzących w konwencjonalnej estetyce lub upodobania do celtyckiej melancholii. Absolutnie niezgodna z prawdą, lecz nieszkodliwa interpretacja.

Pozornie prosty rysunek tuszem przedstawiający Tristana i Izoldę mógł przysporzyć więcej problemów. Zresztą kiedyś już przysporzył. Tadowi. W pierwszym odruchu Tad zamierzał go zniszczyć, podrzeć swymi mocnymi dłońmi albo przynajmniej zostawić tam, gdzie go znalazł, czyli na stercie zapomnianych papierów Honor w Glenbuidhe. Lecz ostatecznie zaborczy mąż, wściekły, że żona, którą poślubił, gdy oboje mieli już za sobą młode lata, była wcześniej związana z innym

mężczyzną, przegrał ze specyficznym amerykańskim szacunkiem dla sławy. I tak wreszcie, pokonawszy kolejne stopnie kontemplacji i dialogu, którego nie powstydziliby się sam Platon, Tad wybrał nieporęczną hebanową ramę, oprawił rysunek i zawiesił w ich mieszkaniu nad kominkiem. Artysta połączył kochanków jednym pociągnięciem pędzla, a gdyby spuszczone na chwilę z oka dziennikarka przyjrzała się rysunkowi bliżej — na przykład wówczas, gdy Honor pójdzie do kuchni zaparzyć herbatę — mogłaby dostrzec jego dedykację, wypisaną pionowo drobnym kanciastym pismem wzdłuż rąbka sukni Izoldy: *Dla Honor od Jeana. Je t'embrasse.*

Historia ich przyjaźni była powtarzana w biografjach Coccothau i w kilku artykułach na temat Honor. Ostatnio Kettering usiłował odgrzać ten temat i zaserwować apatycznym czytelnikom. A w programie *South Bank Show* pokazano urywki nagrania z przyjęcia uświetniającego wystawienie *Le Bel Indifférent*, na którym to przyjęciu Picasso w typowy dla siebie sposób błaznował przed kamerami. Jednak autorzy programu, spełniając co do joty narzucone przez nią warunki, powstrzymali się od jakichkolwiek sugestii czy komentarzy i zamiast beznamiętnego głosu lektora wykorzystali podkład muzyczny w postaci sentymentalnych brzdęków gitary Django Reinhardta z kwintetem Hot Club De France. Jak na ironię wybrali utwór zatytułowany *Oh, Lady Be Good*, choć w tamtych czasach w kręgach, w których obracała się Honor, od kobiety wcale nie oczekiwano, by była „dobra”.

Romansowała z Jeanem kilka dziesięcioleci przed małżeństwem z Tadem, jej ostatnim i najlepszym mężem. Lecz dla Tada czas nigdy nie miał znaczenia. Nie potrzebował też dowodów intymności. Zazdrość Tada — retrospektywna,

bieżąca i prospektywna — stanowiła przejaw szaleństwa, którego oznak gdzie indziej w jego naturze próżno by szukać. Jedna przewina w morzu dobroci.

Lecz co interesującego widzieli czytelnicy weekendowych magazynów dodawanych do gazet w historiach burzliwych związków i rozstań, uzależnieniu od opium i pijaństwie paryskiej cyganerii, które miały miejsce ponad sześćdziesiąt lat temu? Dziś sztuka polega na rozsmarowywaniu na płótnie płynów ustrojowych lub obnażaniu swych niedoskonałości na oczach gapiów. Teraz wszyscy są artystami. Parzą się jak zwierzęta, piją jak podczas bachanaliów. Opium — a raczej jego współczesny odpowiednik (czy to znów kokaina, czy jednak ecstasy?) — jest dostępne na przyjęciach biznesowych, imprezach dla sprzedawczyń i w podmiejskich pubach. Wczorajszy skandal dziś zasługuje jedynie na drobną wzmiankę. Kto naprawdę pamięta Jeana? A spośród tych nielicznych upartych koneserów mroku i zapomnienia, którzy go pamiętają, kogo to obchodzi? Obraz mógł zostać. Zresztą był zbyt ciężki, by zdołała go sama przenieść.

Naprzeciw Cocteau w dębowej nielakierowanej ramie wisiał namalowany dziesięć lat temu olejny surowy portret przedstawiający Honor w sztywnej koafiurze z ustami wymalowanymi karminową szminką i lodowatym wyrazem twarzy. Portret nie przedstawiał jej w korzystnym świetle. Wyglądała wręcz złowrogo, lecz było w nim coś, co pociągało. Tada, choć żywił organiczną niechęć do artysty. Być może urzekły go pewna surowość i prostota emanujące z obrazu lub ponadczasowa obojętność przywodząca na myśl staroruskie ikony, niczym *Kuszenie świętej Honor* pokonującej liczne niewidzialne demony. Daniel namalował ten obraz na swoim pierwszym i — jak się później okazało — zarazem

ostatnim roku w Szkole Sztuk Pięknych Slade'a. Honor ściągnęła obraz ze ściany, klnąc pod nosem i stękając z wysiłku, lecz gdy postawiła go na podłodze, z przerażeniem stwierdziła, że pozostawił po sobie upiorny prostokąt pociemniałej tapety, na podobieństwo wzruszającej pustej ramy w bostońskim muzeum, czekającej na powrót skradzionego Vermeera. Brak obrazu mógł wzbudzić więcej domysłów niż jego obecność. Honor z wielkim trudem powiesiła portret z powrotem na haku. Serce zaczęło jej bić gwałtownie, co nie było przyjemne, a dodatkowo przy każdym jego uderzeniu odczuwała ukłucie bólu. Usiadła, żeby złapać oddech.

Wydawnictwu udało się ją przekonać, by udzieliła wywiadu w swoim mieszkaniu. Ruth Lavenham, założycielka i szefowa Uncumber Press, choć przyjmowała matczyną pozę, była twardą bizneswoman. Obnażenie odrobiny prywatnego życia będzie korzystne dla sprzedaży nowej książki Honor, powiedziała. Była to również obleczona w uśmiech groźba Uncumber Press, małego dzielnego Dawida stojącego naprzeciw korporacyjnych Goliatów świata wydawniczego. Honor miała dług wdzięczności wobec Ruth. To ona uratowała ją od niewypłacalności dwa lata temu, tuż po śmierci Tada, eleganckim wznowieniem pierwszego zbioru artykułów prasowych Honor, *Prawda, maszyna do pisania i szczoteczka do zębów*, opublikowanych po raz pierwszy przez wydawnictwo Faber w latach pięćdziesiątych i dawno zapomnianych. Książka w swym najnowszym wydaniu została poszerzona o nagrodzoną Pulitzerem relację z wyzwolenia obozu w Buchenwaldzie i odniosła zaskakujący *succès d'estime*. Honor Tait została „ponownie odkryta”, a co ważniejsze, mogła spłacić najpilniejsze zobowiązania finansowe. Co do nowej książki, *Depesze z mrocznych stron, czyli dzieła zebrane Honor Tait*,

istniała nadzieja, że uda się powtórzyć ten sam trik. A za rok, jeśli wszystko dobrze pójdzie, ukaze się *Okiem reportera* — trzecia książka, której tytuł zaproponowała Ruth, a Honor się zgodziła, choć nie bardzo przypadł jej do gustu.

— Och, daj spokój — powiedziała Ruth, gdy omawiały działania promocyjne związane z planowanym wydaniem *Depesz*. — Wywiad dla najbardziej szanowanego w kraju magazynu? W zaciszu własnego domu? Co w tym złego? A jeśli chodzi o efekt marketingowy, taki wywiad jest o niebo lepszy od dwustronicowej reklamy.

I tańszy. Tak więc Honor skapitulowała. Wiedziała jednak, że to błąd. Kilka razy w życiu zgodziła się udzielić wywiadu, ale nigdy nie wpuściła żadnego reportera do domu. Nawet najbardziej przychylnie nastawiony dziennikarz traktowałby mieszkanie wraz z całą zawartością jak pozbawione zasłon okno sięgające w głąb jej umysłu i duszy. Rozmowa z Melvynem dla *South Bank Show* została nakręcona w Bibliotece Londyńskiej, gdzie wcześniej, w przyпыwie lekkomyślnego narcyzmu, za który słusznie została ukarana (fotografią przerażającej halloweenowej maski w czytelni piekła), zgodziła się pozować dla „Vogue’a”.

Do tego typu spotkań najodpowiedniejsze są hotele, bezosobowa ziemia niczyja odarta ze znaków i pamiątek. Reporter, choćby najbardziej złośliwy, nie mógłby zganić swego rozmówcy za bezbarwny wystrój wnętrza, plamy na sofie lub zapach stęchlizny. Ale nawet w hotelowym apartamencie wśród chromowanych powierzchni i skórzanych beżowych obić, gdzie do czytania jest tylko Biblia Gedeonitów i książka telefoniczna, dziennikarz może dopaść swoją ofiarę, jak to miało miejsce w przypadku biednego Johna Updike’a. Honor napisała do Updike’a list z wyrazami współczucia po tym,

jak pewna dziennikarka dostrzegła parę białych slipów rzuconych gdzieś pod fotel w jego hotelowym pokoju i opisała to w swoim artykule, przedstawiając jako metaforę typowo męskiego stosunku do seksu, wyrażonego w twórczości pisarza. Honor nienawidziła takiej pruderii. W jej mieszkaniu, dzięki sprzątacze, przynajmniej nie będzie żadnych majtek na widoku.

To stara metoda: zatrzymać się przy jakimś pozornie nic nieznaczącym przedmiocie i wykorzystać go do zbudowania chwytliwej historii, tworząc psychologiczne studium jego właściciela. Jak inaczej można przedstawić czyjeś życie na podstawie godzinnej rozmowy i pospiesznie zebranych materiałów z archiwum wycinków prasowych? Honor uciekała się do tej praktyki nieraz, zwłaszcza gdy osoba, z którą miała przeprowadzić wywiad, nie była skłonna do pomocy. W każdym drobiazgu czy bibelocie tkwi załączek dłuższej historii. Nawet w najnowszym Nowym Dziennikarstwie pewne rzeczy nie uległy zmianie. Przypomniała sobie, jak przeszedł ją łowiecki dreszczyk emocji, gdy w biurze MacArthura w Tokio dostrzegła netsuke w kształcie osła, w reducie Becketta na Montparnassie plakat reklamujący burleskę Maxa Millera, przy szpitalnym łóżku *madame* Czang Kaj-szek egzemplarz sonetów Szekspira, a w surowej wojennej kwaterze Charles'a de Gaulle'a przy Carlton Gardens fotografię aktorki Idy Lupino z jej autografem.

Czy fotografie Honor, które nadal stoją na półkach z książkami i wiszą na ścianach, gdzie umieścił je niegdyś Tad, oprą się podobnej lustracji? Jedno z czarno-białych zdjęć przedstawia ją jako młodą reporterkę wojenną — gibką jak lwica i szykowną w mundurze polowym — wśród szeroko uśmiechniętych chłopców, nad którymi ciążyło już fatum; wkrótce

mieli wylądować w Normandii. Obok znajdowała się fotografia ikona, zrobiona dla tygodnika „Collier’s”, na której Honor siedzi z Franco, tuż po tym jak mianowano go komendantem wojskowym Wysp Kanaryjskich. Od pasa w górę skromna profesjonalistka z notatnikiem i piórem, niczym gorliwa i uważna stenografka z lat trzydziestych. „Proszę pisać, panno Tait!” A od pasa w dół tancerka rewiowa. Długie opalone nogi w dopasowanych szortach i sandałach na obcasach wyglądały jak wypożyczone z rewii *Ziegfeld Follies*. Zdjęcie trafiło na łamy niemal wszystkich gazet świata, a Honor zyskała przydomek „Dietrich newsroomów”. To wszystko zostało upublicznione. Tak tworzył się jej mit. Teraz nic z tym nie można już zrobić.

Fotka zrobiona kiedyś przez paparazzo w trakcie pewnej uroczystej kolacji — mającej na celu zbiórkę funduszy na rzecz Partii Postępowej — mogła być bardziej kontrowersyjna. Z pewnością taka była w swej pierwotnej wersji, na której Honor siedziała u boku Sinatry szepczącego jej coś do ucha. Kiedy wykonano to zdjęcie, Sinatra był jeszcze żonaty, lecz otwarcie spotykał się z Avą Gardner, więc rubryki towarzyskie miały sporo uciechy. Jednak w tamtych czasach komentarze były utrzymane w czołobitnym tonie właściwym niewinnej erze, gdy zwykli śmiertelnicy z zazdrością śledzili igraszki swych bogów. Teraz śmiertelnicy brali odwet, obrzucając bożyszczą nadgniętymi warzywami. Zdjęła fotos ze ściany i przyglądała mu się przez chwilę, podziwiając — tak, czemu nie miałyby się do tego przyznać — sposób, w jaki światło spływało na jej ramiona, rozświetlając przypięte do sukni gardenie. Kwiaty były równie delikatne i świeże jak jej młoda twarz o szczerym spojrzeniu. Patrzącym na zdjęcie wydawało się, że Honor została uwieczniona przez fotografa w chwili,

gdy rozkoszowała się myślą o czekającym ją wkrótce miłosnym zespoleniu. Nic bardziej mylnego. Aparat fotograficzny potrafi kłamać, ale czasem na naszą korzyść. Jak na ówczesne standardy była już wtedy matroną po trzydziestce, przeżyła jedną wojnę, jedno nieszczęśliwe małżeństwo i kilka nierozważnych romansów. Dwie kolejne wojny — a właściwie trzy, jeśli liczyć Algierię — czekały tuż za rogiem. Nie była w nastroju na taki wieczór. Zmusiła ją do przyścia stara przyjaciółka Lois, która pracowała wówczas dla obozu Henry’ego Wallace’a. Dodatkowo zirytowała się, gdy zauważyła, że nie posadzono jej z Alvinem Tilleyem, postępowym dramatopisarzem należącym do Hollywoodzkiej Jedenastki, lecz z kiczowatym piosenkarzem Frankiem Sinatrą. Najwyraźniej Sinatra również wiązał inne nadzieje z tym wieczorem, choć zachowywał się uprzejmie. Wypowiedziana szeptem rzekoma propozycja, którą uwiecznił obiektyw aparatu fotograficznego, była w istocie częścią rozmowy na temat Zjednoczonego Antyfaszystowskiego Komitetu do spraw Uchodźców.

Dwadzieścia lat później Tad w kolejnym napadzie zazdrości pociął zdjęcie, usuwając piosenkarza o uśmiechu upadłego serafina wraz z otaczającymi go fotografami i fanami. Oryginalna fotka wciąż była w obiegu. Należała do jednej z dużych agencji i została wykorzystana w ostatnim filmie dokumentalnym. Bezlitośnie kapryśna potomność zadbała, by czterdziestowatowy talent Sinatry wciąż płonął pełnym blaskiem, podczas gdy wielu bardziej błyskotliwych artystów zostało skazanych na zapomnienie. Czy ta dziennikarka o patetycznym imieniu i nazwisku, niejaka Tamara Sim, może się zorientować, że fotografia, którą Honor trzyma teraz w dłoniach, została ocenowana, i dojść do wniosku, że ona sama pocięła ją nożyczkami z powodu zawodu miłos-



nego? Czy coś takiego może naprowadzić tę reporterkę na fałszywy trop? Honor zdecydowanie nie zamierzała podsycać lubieżnych zainteresowań dziennikarzy „Monitora” i ich niedzielnego magazynu.

U progu nowego tysiąclecia prasa reagowała na każde najdrobniejsze małżeńskie wykroczenie niczym stara panna z epoki edwardiańskiej na widok gołego mężczyzny, choć sami dziennikarze miewali nieuporządkowane życie osobiste, problemy alkoholowe i bywali uzależnieni od narkotyków, a uprzedmiotowiony seks stał się powszechną praktyką. Honor zgodziła się na jednorazową inwazję gazety na jej życie prywatne, ale w ograniczonym zakresie i tylko w jednym celu: aby sprzedać tę nieszczęsną książkę. A mówiąc bardziej precyzyjnie: by zarobić pieniądze i zapłacić rachunki. Lepiej będzie, jeśli zachowa ostrożność. Zdjęcie musi stąd zniknąć. Honor znów zaczęła tracić oddech. Ściskając fotografię, odwróciła się w stronę fotela. Musi natychmiast usiąść.

\*

W oddalonym o jedenaście kilometrów Hornsey, w suterze szeregowca, gdzie zawsze panował półmrok, siedziała przed lustrem Tamara Sim. Na toalecie niczym wystrzelone naboje leżały porzucane szminki, a obok jej łokcia stała artystyczna armia pędzli, Tamara zaś, z gorliwością godną dziewczyny szykującej się na pierwszą randkę, robiła makijaż.

Kiedy redaktor naczelna należącego do „Monitora” prestiżowego magazynu „S\*nday” wysłała do Tamary e-mail z pytaniem, czy chciałaby przeprowadzić wywiad z Honor Tait, ta natychmiast odpowiedziała:

*Oczywiście! Przecież to legenda dziennikarstwa! Taki temat to moje marzenie!*

W istocie Tamara zdziwiła się, że słynna reporterka w ogóle jeszcze żyje. Jej wiedza na temat dorobku zawodowego pani Tait była ograniczona. Artykuł o żonie chińskiego dyktatora z lat pięćdziesiątych był jedną z obowiązkowych lektur na studiach medioznawczych. Wykładowca opowiadał, że Honor Tait pożyczyla strój pielęgniarki, dostała się podstępem do szpitala, w którym leżała starsza pani, i spędziła godzinę przy jej łóżku. Sam wywiad był nudny jak wstępniak w poważnej gazecie i Tamara szczęśliwie zdała egzaminy końcowe, nie przeczytawszy całego tekstu.

Historia Chin, a w zasadzie jakakolwiek historia, nigdy za bardzo nie pociągała Tamary. Ani też, skoro już o tym mowa, dawne legendy dziennikarstwa. Dłuższe, pogłębione sylwetki wiekowych autorów to nie jej działka, a nieprzekraczalny termin trzech tygodni był bardzo krótki. Lecz lakoniczna propozycja Lyry Moore przekazana za pośrednictwem służbowego e-maila wprawiła Tamarę w stan upojenia: miała napisać na dwiętnastego lutego cztery tysiące słów na temat życia i dorobku Honor Tait dla magazynu „S\*nday”, który ukaże się trzydziestego marca, co zbiegnie się z uroczystością osiemdziesiątych urodzin pani Tait oraz publikacją jej nowej książki.

Przez cztery dni w tygodniu Tamara pracowała w „Monitorze” na umowę zlecenie jako adiuwatorka, a czasem również pisywała do sobotniego dodatku z programem telewizyjnym i plotkami o celebrytach, zatytułowanego „Psst!”, który w porównaniu z ekskluzywnym i uduchowionym „S\*ndajem” był krzykliwym prostakiem. Jaskrawe strony „Psst!” zaludniały uzależnione od seksu gwiazdy seriali, zważnione boysbandy, anorektyczne dziewczyny piłkarzy i uzależnieni od narkotyków prezenterzy telewizyjni. Świat ten był

równie daleki od intelektualnej arystokracji „S\*ndaya” jak planeta Pluton od disnejowskiego psa Pluto. Nienagannie elegancki i trudny w odbiorze magazyn Lyry Moore był uważany za angielski odpowiednik „New Yorkera” z dodatkami atrakcyjnych zdjęć. Na jego miękkich i śliskich jak jedwab stronicach gościły ostatnio rozważania Umberta Eco na temat średniowiecznej estetyki, rozprawa George’a Steinera o Kierkegaardzie oraz esej Susan Sontag poświęcony sile fotografii polaroidowej, któremu towarzyszyły zdjęcia — tajemnicze, osobiste i wzruszająco źle skomponowane — wykonane pewnego marcowego dnia ubiegłego roku przez mieszkańców oblężonego Sarajewa. Tamara nie знаła żadnego z trojga autorów i choć przejrzała opublikowane w „S\*ndayu” teksty, nie czuła wewnętrznego przymusu, by zapoznać się z ich twórczością. Pomijając już same treści, kiedy miałyby znaleźć na to czas?

Zrezygnowała z pomalowania ust wampowatą czerwienią. To by tylko podkreśliło opryszczkę w początkowej fazie rozwoju, która pojawiła się na jej wardze. Przetarła usta chusteczką i zdecydowała się na mroźny róż. Dziś musiała wyglądać jak należy. Szykownie, lecz niegroźnie. Granatowa spódniczka do kolan, biała bawełniana bluzka, beżowy trenz i czółenka na niewysokich obcasach. Oto skromny strój, który mogłaby włożyć księżna Diana na oficjalną wizytę w szpitalu dziecięcym.

Tamara zdawała sobie sprawę, że czeka ją próba wytrzymałości. Będzie musiała przeprowadzić długi wywiad, a potem w stosunkowo krótkim czasie napisać dość obszerny tekst, używając wielosylabowych słów. Wiedziała, że cztery tysiące słów to prawdziwa męka dla kogoś, kto tak jak ona

zazwyczaj opracowywał dwuzdaniowe podpisy pod zdjęcia, dwunastowersze zestawienia albo dwuakapitowe teksty o wpadkach celebrytów. Wywiady, które od czasu do czasu przeprowadzała, miały około ośmiuset słów. „Sunday Sphere” zlecił jej też kiedyś dwa teksty, każdy na tysiąc słów: zwierzenia striptizera transseksualisty, który twierdził, że przespał się z prezenterem programów dla dzieci, oraz sensacyjną informację o tym, że nastoletni syn szefa policji jest uzależniony od narkotyków. Ale czterokrotnie dłuższy artykuł? Trzeba będzie się sporo nastukać w klawiaturę, nie wspominając już o wcześniejszym zebraniu dodatkowych materiałów.

To mogło zniechęcić, ale trudno o większy komplement dla dziennikarza niż zlecenie od Lyry Moore. Od ukazania się pierwszego numeru „S\*ndaya” minęło już pięć lat, a tytuł wciąż cieszył się szacunkiem, mimo zdarzających się od czasu do czasu drobnych potknięć wynikających z błędów drukarskich. Snoby podziwiały ilustrowany magazyn Lyry Moore za jego intelektualny charakter, podczas gdy pragmatyczni pisarze zazdrościli naczelniej przede wszystkim okazałego budżetu. A Tamara jako ambitna dziennikarka z bogatym freelancerskim dorobkiem, bez prawa do chorobowego, wakacji czy emerytury i bez dostępu do funduszu powierniczego, za to z zależnym od niej finansowo bratem, nie mogła przepuścić takiej okazji.

Obawiała się, że odpowiedź, którą wystukała po zaledwie kilku sekundach od otrzymania wiadomości Lyry, mogła zostać odebrana jako zbyt wylewna.

*MARZE o tym! Tak BARDZO ją podziwiam! Jestem ZACHWYCONA! Wspaniały magazyn!!! Cudowni autorzy!!!*